

Wspomnienia Wiktorii Rękiewicz powstałe w ramach programu edukacyjno-historycznego „Widzieliśmy” Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zgorzelcu. Tekst powstał na podstawie rozmowy z Wiktoria Rękiewicz i został opublikowany w Miejskim Biuletynie Informacyjnym „ZGORZELEC.EU” (październik 2022).

Opowiem wam o swoim życiu

Nazywam się Wiktoria Rękiewicz, z domu Krensel, i mieszkam w Zgorzelcu. Ojciec mój Teodor urodził się w 9 listopada 1901 roku w Katowicach. Kiedy zmarł jego ojciec, 17-letni chłopak musiał utrzymać rodzinę – matkę i dwuletnią siostrę. Chwytał się wszelkich prac, zajmował się handlem. W 1920 roku Katowice weszły do Polski. Jednak czasy te na Śląsku były bardzo ciężkie i w 1927 roku, razem ze swym nieodłącznym kolegą Lesińskim, ojciec wyruszył za chlebem. Był w Anglii, Francji ale ostatecznie osiadł w Belgii. Pracował w bardzo trudnych warunkach jako górnik w kopalni węgla kamiennego, później trafił do huty.

Wszędzie praca była ciężka, ale dało się z niej wyżyć. Ojciec ściągnął do Belgii swoją narzeczoną ze Śląska – moją mamę. Korespondowali ze sobą przez 10 lat. Pobrali się 4 grudnia 1937 roku. Potem urodziła się moja siostra i mój brat, później ja. Wybuchła II wojna światowa i ojciec zdecydował o wyjeździe do Niemiec. Dostał dobrą pracę jako kolejarz i mieszkanie w nowo wybudowanym bloku mieszkalnym, przez kilka lat było dobrze, wojna nas nie dotyczyła. Po wojnie, w 1947 roku ojciec postanowił – oczywiście w porozumieniu z Lesińskim, którego ja nazywałam wujkiem, bo był jak członek rodziny - wyjechać do Polski. Obie zaprzyjaźnione rodziny wróciły razem. Granicę przekroczyliśmy w Szczecinie. Na początku musieliśmy przebywać w specjalnym obozie-lagrze dla Polaków wracających po wojnie z Zachodu. To trwało kilka miesięcy. Następnie udaliśmy się do Bytomia, gdzie mieszkała siostra mamy, ciocia Gertruda.

I znowu ojciec nie mógł usiedzieć na miejscu i rozglądał się za lepszą pracą, aby utrzymać rodzinę. Dowiedział się o tym, że poszukują pracowników w Turoszowie, który znalazł się po wojnie na terenie Polski. Po kilku miesiącach pojechaliśmy do ojca, który otrzymał dom po wysiedlonych Niemcach. Był kompletnie wyposażony, nie mogłam się nadziwić, że to wszystko jest nasze – miałam 5 lat. Siostra i brat zaczęli chodzić do polskiej szkoły, a ja do przedszkola, w którym zatrudnienie znalazła moja mama. Później, jak dzieci podrosły, mama pracowała w kopalni Turów jako sprzedawczyni w różnych sklepikach, kioskach, w kuchni, na stołówce.

Z mamą związana jest historia z pobytu w słynnym Truskawcu. W 1932 roku została tam skierowana do sanatorium ponieważ w rodzinie ktoś zachorował na gruźlicę, chyba siostra mojej mamy. To było na terenie ówczesnej Polski, pod Lwowem. Wspominam to, bo w 2016 roku za pośrednictwem Miejskiego Klubu Seniora ja też byłam w Truskawcu. Odnalazłam ten dom sanatoryjny, w którym leczyła się moja mama. I ku mojemu zdumieniu, rozpoznałam mamę na wiszących tam starych fotografiach.

Mój ojciec to był taki podróżnik i bardzo aktywny człowiek. Nas także nauczył aktywności – jazdy na rowerze, biegania, pływania, wędrówek i turystyki. Ja z pływaniem nie bardzo, ale do dzisiaj uwielbiam wędrówki po górach i w ogóle, na ile zdrowie pozwala. Ojciec bardzo dobrze znał języki: niemiecki, francuski, angielski. Próbował nas uczyć, ale my jako dzieci nie bardzo chcieliśmy. Kopalnia była jeszcze pod administracją niemiecką, kiedy w lipcu 1947 roku zatrudniono mojego ojca. Był piątym zatrudnionym Polakiem w kopalni. Najpierw był

sanitariuszem, później pracował w (dziale) mierniczym i pompowni. Po pracy w Belgii miał pylicę, ciągle męczyły go duszności. Znał się trochę na medycynie naturalnej, wyleczył mamę z przewlekłej choroby zatok. Dbał o nas. Co roku jeździliśmy na kolonie letnie z kopalni – Opolno Zdrój, Szklarska Poręba, Świnoujście.

Później siostra wyszła za męża. Jakiś czas potem ja też wyjechałam z mężem do Zgorzelca, gdzie urodziła się moja jedyna córka, zresztą też mieszka w Zgorzelcu. Moje pierwsze małżeństwo rozpadło się. Wróciłam do Zatonia, pracowałam w KWB Turów i wieczorowo skończyłam Liceum Ekonomiczne. Przepracowałam w kopalni 41 lat. Wspominam swoje życie z uśmiechem, bo było mimo wszystko radosne i dobre. Pamiętam, że ojciec hodował róże, nawet był nagradzany za to w kopalni. W ogóle mieliśmy działkę, uprawialiśmy kartofle i buraki, były też króliki, kury, gęsi, kozy, świnia. Ojciec mnie chwalił, że – tak jak on – wszystko umiem zrobić. Mówił o mnie – *złota dziewczyna*. Ciekawie opowiadał o swej znajomości ze słynnym pieśniarzem Janem Kiepurą (1902-1966 – przyp. red.), który pochodził z pobliskiego Sosnowca. Byli prawie rówieśnikami, ojciec był starszy o rok.

W 1969 roku zamieszkałam ponownie w Zgorzelcu przy ulicy Broniewskiego. Po przełomie 1989 roku chcieli nam na siłę zmienić nazwę ulicy na Orląt Lwowskich. Mieszkańcy zaczęli protestować i obronili imię Władysława Broniewskiego (przecież nie tylko poety okresu tak zwanej Polski Ludowej ale i II Rzeczypospolitej, żołnierza Legionów Piłsudskiego, kawalera Virtuti Militari, patrioty, który miał odmówić Bierutowi napisania nowego tekstu hymnu Polski – przypis red.).

Z rodzeństwa zostałam sama. Siostra Rita odeszła w 2018, 2 miesiące później siostra Regina, szwagier Zbyszek w 2020, a w marcu bieżącego roku mój ukochany brat. W Zgorzelcu żyje mi się nie najgorzej, przyzwyczałam się. Wcześniej często jeździliśmy tu na jakieś występy, motocross. I pamiętam, że w latach '50 i '60 rzucała się w oczy społeczność grecka, charakterystycznie ubrane na czarno kobiety. Powyjeżdżali do Grecji, dzisiaj ich nie widać. Co jeszcze, jest tu dom kultury, amfiteatr. Niestety niszczy nasz kopalniany „Kubuś”. To był słynny lokal, w którym się odbywały różne imprezy kopalniane, dancingi, dyskoteki, była sala tv, sala kinowa, restauracja, salon gier. Organizowano tam też wesela itp. Od dawna ważny dla mnie jest też Miejski Klub Seniora, do którego się chodziło i chodzi spotkać znajomych, porozmawiać, pośmiać się. Po operacji kolana już nie jestem taka sprawna, ale nadal biorę kijki i maszeruję. Do czego wszystkich serdecznie namawiam.